Tygodnik literacki
literaturze, sztukom pięknym i krytyce poświęcony.

№ 47. Poznań, dnia 23. Listopada. 1840.

Literatura zagraniczna.

Wyjątki z nowego tłómaczenia Szekspira S. Koźmiana.

KRÓL JAN.
Akt III. Scena III.

Król Jan i Hubert.

Król Jan. Pójdź tu, Hubercie. Jam, luby Hubercie,
Wiele ci winien. W téj warowni ciała
Jest duch, co pomni, że jest twym dłużnikiem,
I chce twą miłość odpłacić stokrotnie.
O przyjacielu! Twa chętna przysięga
Żyje w tém łonie drogo przechowana.
Daj mi twą rękę. Ja ci coś rzec miałem,
Lecz temu później lepszy ton dobiorę.
Wstyd mi jest prawie, na niebo, Hubercie,
Wyrzec, w jak wielkim mam cię poważaniu.
Hubert. Waszéj królewskiéj mości wdzięczny jestem.
Król Jan. Nie, jeszcze nie masz do tego powodu,
Lecz go mieć będziesz. Choćby się najwolniéj
Wlókł czas, to przyjdzie, bym ci się wywdzięczył.
Rzec ci coś miałem, — ale to pominę.
Słońce wysoko świeci na tle niebios,
A dumny w uciech światowych orszaku
Dzień nadto igra, nadto pełny pustot,
By mnie posłuchał. — Gdyby dzwon północy
Mosiężną paszczą, żelaznym językiem,
Wtórzył biegowi ospałemu nocy,
Cmentarzem było to miejsce, gdzie stoim,
I ciebie tysiąc dręczyło boleści;
Lub gdyby duch ten posępny, tęsknota,
Twoją krew upiekł, zrobił ciężką, gęstą,
(Co zwykle tryska łachocząc po żyłach,
Szaleńcym śmiechem iskrzy oczy ludzi,
I lica w pustą rozciąga wesołość.
Szał, moim celom nienawistny tyle;)
Lub gdybyś ty mnie mógł widzieć bez oczów,
Bez uszów słuchać, dawać bez języka
Odpowiedź, wszystko zgadując domysłem,
Bez oczów, uszów, przykrego słów dźwięku;
Wtedy, pomimo pilnéj dnia baczności,
Na twoje łono wylałbym me myśli.
Lecz, ah! nie! nie chcę! Jednak kocham ciebie,
I święcie wierzę, że mnie równie kochasz.
Hubert. O tak, że gdybyś kazał mi co począć,
Choć śmierć by gnała krok w krok za mym czynem,
Ja go dokonam; —
Król Jan. Wiem, żebyś dokonał.
Dobry Hubercie, Hubercie, rzuć oczy
Na tego chłopca. Wyznam ci, mój luby,
Że na méj drodze on prawdziwym wężem;
On tam, gdziekolwiek moja noga stąpi
Leży przedemną. Ha! czy mnie rozumiesz,
Tyś jego strażnik....
Hubert. I będę pilnował,
By ciebie nigdy w niczém nie obraził.
Król Jan. Smierć!
Hubert. Coś rzekł panie?
Król Jan, Grób!
Hubert. On żyć nie będzie.
Król Jan. Dość, dość; o teraz mógłbym być wesołym;
Jakżeż cię kocham, Hubercie! Nie powiem
Co ci przeznaczam, lecz pomnij, pamiętaj! —

Scena IV.

Król Filip. Konstancya. Kardynał Pandulf.

Król Filip. Cierpliwość, pani! ukój się, Konstancyo!
Konstancya. Nie, — gardzę wszelką radą i nagrodą,
Oprócz téj, która wszelkich rad jest końcem.
Śmierć! śmierć! o luba ukochana śmierci!
Czerstwa zgnilizno! pachnąca stęchlino!
Wstań z twego łoża wiekuistéj nocy,
Ty coś jest grozą, strachem pomyślności.
Ja twe obmierzłe kości ucałuję,
Wsadzę me oczy w twe wydęte czoło,
Twémi robaki opierścienię palce,
Plugawym prochem ten tchu otwór zatknę,
I, jak ty, ścierwem i straszydłem będę.
Pójdź, wyszczerz zęby na mnie, a pomyślę,
Że się uśmiechasz, otulę jak żona!
Kochanku nędzy, pójdź do mnie.
Król Filip. O piękna,
Boleści! pokój!
Konstancya. Nie! — póki tchu stanie.
Gdyby mój język był w paszczy piorunu,

Wściekłością całym wstrząsnęłabym światem,
I tego trupa zbudziłabym ze snu,
Co na głos słabéj niewiasty jest głuchym
I gardzi matki nieszczęsnéj zaklęciem.
. . . .
Król Filip. Zwiąż twe warkocze; jakąż miłość widzę
W téj obfitości jéj włosów nadobnéj,
Gdzie srebrna kropla przypadkiem upadła,
Zaraz jedwabnych przyjaciół tysiące
Do niéj przylgnęło we spólnictwie smutku,
Jak kochankowie, wierni, nierozdzielni,
Co i w niedoli lepią się do siebie.
Konstancya. Idźmy do Anglii, gdy chcesz.
Król Filip. Zwiąż twe włosy.
Konstancya. Związać, tak, zwiążę! I po cóż je zwiążę?
Jam je z ich więzów wydarła, wołając;
Gdyby me ręce mogły tak wyzwolić
Syna, jak dały wolność moim włosom!
Lecz ich swobodzie na nowo zazdroszczę,
I dawnym więzom znowu je powrócę,
Bo moja biedna dziecina jest jeńcem. —
Tyś mnie to uczył, ojcze kardynale,
Że lubych ujrzym, poznamy znów w niebie,
Jeźli to prawda — i ja ujrzę syna! —
Bo od Kaina, najpierwszego chłopca
Do tego, który wczoraj przyszedł na świat,
Jeszcze nie było tak lubéj dzieciny;
Lecz robak — smutek dziś stoczy mój pączek,
Rodzimą piękność wygna z jego twarzy,
I jak upiora zrobi go wychudłym,
Tak czarnym, nędznym jak febry paroksyzm,
I tak on umrze; a gdy zmartwychwstanę,
I gdy go spotkam na dworcu niebieskim,
Już go nie poznam. Więc nigdy, już nigdy
Nie ujrzę mego pięknego Artura.
Pandulf. Nadto się kornie smutkowi poddajesz.
Konstancya. Tyż to wyrzucasz, ty, coś nie miał syna?
Król Filip. Równie się z smutkiem, jak z twém dzieckiem pieścisz.
Konstancya. Bo smutek zajął miejsce mego dziecka,
Śpi w jego łożu, chodzi ze mną wszędzie,
Powtarza słowa, wdzięk jego przybiera,
Wszystkie mi lube przypomina rysy,
Wkłada swą postać w pustą jego odzież,
I jakżeż nie mam pieścić się ze smutkiem?
Londyn, 1840. *S. Koźmian.*

Literatura krajowa.

Poezya.

Wiersz do W. K. S.

Zapłakałem, bo me serce
Spiekłe ogniami zgryzoty,
Wpija cichą łzę tęsknoty,
Jak rosę, kwietne kobierce

Zapłakałem, bo dokoła
Ni ojczyzny, ni rodziny
Śród téj niewoli dziedziny,
Stroskana myśl nie wywoła!

Mogiłą jest serce moje!
Mogiłą cała kraina!
Nikt imienia nie da syna,
Jak w cmentarzu sam tu stoję!

Promyki świetnych nadziei,
Co w dzieciństwie tak mi lśniły,
Pośród złych losów kolei
Pomierzchły i w dal się skryły!

Jaka tu noc! — ale w duszy
Przeczuwam chwilę skonania,
Co mi duchów świat odsłania,
I powłokę ziemską kruszy.

Znów wrócę do méj rodziny,
Ziemskie opowiem jéj bole,
Może też i lepszą dolę
Wybłagam dla méj krainy!

1837. r. *F. Ż.*

Posiedzenie Bacciarellego malarza.

(Dalszy ciąg.)

Sprowadzony spiesznie ze schodów zamkowych, ledwo w karecie dowiedziałem się z rozkazu, jaki szambelan w głos woźnicy rzucił, gdzie mnie wiozą, i niedaleko była ta podróż, do prymasa pałacu; wczoraj ją odbyłem. Ale jakże różne wczora od dzisiaj! jakże różny sam pałac zastałem! Świętość spokoju i uszanowania przerwane zgiełkliwém przelatywaniem służby, trzask drzwi jedne po drugich, w sieniach kilkunastu z liberyi w ciekawe grono zwiniętych szemrało między sobą. Przede mną wybiegł kamerdyner z pokoju i krzyknął na nich: »Wody!« Leniwy ruch kilku z czeredy dał się widzieć po tym nagłym nakazie. Wchodząc do sali postrzegłem pośpiech kamerdynera, obrany z wszelkiego uszanowania dla miejsca i osoby pana jego, drzwi wszystkie otworem, ostatnie do alkowy książęcéj, w które spieszno wkraczał, zatrzasł za sobą łoskotliwie. Zmięszany, nie wiem gdzie iść, kogo pytać, komu meldować, gdy poza mną słyszę głos pani Grabowskiéj, w czarném żałobném odzieniu, oczy zaczerwieniałe z płaczu, jéj śliczne siwo-błękitne oczy, którym tak dobrze obok czarnych splotów, którym tak wymownie grecko-sarmacki nosek przewodniczył, i ów dołek na podbródku, z którym często pieszcząc się król Stanisław mawiał: »Ty będziesz miała dwóch mężów lub dwóch kochan-

ków Anusiu!« — Wabny ten pączek łazienkowskiéj oranżeryi, cały w rosie, pomięty płaczem, kirem jak chmurą zczerniony, rankiem, w pośród tych krążeń lokajskich, w pośród nieuprzątnionych komnat pałacu, zdał mi się, jak zapomniana doniczka róży, kiedy po zabawie i tańcach wyniosą wszystkie ubrania, kwiaty z salonu, a ową królowę kwiatów zapomniawszy, z gołémi ściany zostawią.

»Pójdź za mną, panie Bacciarelli,« ozwie się wchodząca, »téj ostatniéj posługi król od ciebie wymaga; przypomnij mu to, co odtąd z rzeczywistości przypomnieniem ino być może.« — To mówiąc postąpiliśmy w ciemną sypialnię prymasa, różową firanką u okien zaiskrzoną. — Niestety! teraz ujrzałem i boleść króla i czarny ubiór Grabowskiéj i nieporządek pałacu usprawiedliwione przede mną. Książę prymas leżał na łożu z przymarłą źrenicą, z posiniałą twarzą, jednę rękę trzymał na piersi, ale tak zaciśnioną, jakby się jeszcze mocował z bólem tłoczącym mu łono; a drugą trzymał szkarłatną kołdrę łoża, pomiętą wściekłémi poruszeniami palców. Duchowna czapeczka zasunęła mu czoło w połowie, głowa w wielkich poduszkach wyrobiła dół tak głęboki, że ledwo nos orli przeważny można było rozeznać między najeżonémi rogami poduszek; wyprężone ciało mówiło bolem, przecież widać w niém było wolę, nie ratowania się, nie chęć powstania z łoża i wołania pomocy, gdyż cała postawa jego rzucona i podana była ku ścianie; a w twarzy przy ostatniém tchnieniu, znać chęć wypogodzenia swych rysów, jak gdyby dla mnie malarza, jak gdyby chciał umilić skon i dać wyczytać z czoła swego, że się nie lękał śmierci.

Ksiądz Mejer stał nad jego łożem w chwili naszego wejścia. Grabowska pobiegła ku niemu: »Jakże, księże spowiedniku, podejrzenie nasze?« — »O! jak prawdziwe! patrz pani, na tym stoliku, tuż przy łożu stoi, jak stał, dzwonek nietknięty; ręka nieboszczyka, patrz, o cal jeden daléj za nim położyła swą książkę modlitw, brewiarz; kto mógł tam dosięgnąć, nie mógłże dzwonka ruszyć? — przecież nie dzwonił, nie wołał!« — »Aleź on mógł wpierw się modlić, wpierw położyć książkę, zanim ten napad wytrącił mu przytomność, że potém do dzwonka nie trafił.« — »Mógł wpierw się modlić, to prawda, ale kładąc tę książkę, on już wiedział, że umrze, a chcąc się ratować byłby mógł zbudzić służbę. Patrz pani! patrz Bacciarelli! brewiarz założony, modlitwa za umarłych; tę kartkę zagiął i położył otworem; a wczoraj w wieczór, gdym przyszedł na dobra noc, on mi nie kazał zrana przychodzić i rzekł dość znacznie, abym dziś go zrozumiał: „Nie przychódź księże wcześnie, bo ja jutro długo, długo leżeć będę!“ —

A mnie w pamięci powtórzyły się wczorajsze prymasa wyrazy: »I doszło aż do tego, że on swego brata mieć nie będzie!« — I strach mię zdjął za tych dwóch braci, co obaj wzywali pędzla mego dla siebie, którym jakaś ciemna świeciła gwiazda, jakaś wielka groziła ręka, kiedy przed nią woleli bramę śmierci sami przekroczyć, jak czekać jéj uderzeń. Stałem zwikłany niespodzianą bojaźnią, szukałem okiem artysty w téj nieméj twarzy cechy, piętna, jakiém naznaczyć na płótnie rysy tak mi dobrze znajome, czy go przywrócić do życia i dać mu uśmiech jego zwyczajny, i ten umizg twarzy, którym z prymasa często człowiek, kochanek przemawiał; czy przepomnieć krewkość ciołków domu w owych familijnych rysach, a zbudować samą powagę książęcą i naczelnika kościoła? Albo też oddać całą przestrogę bratnią, którą śmiercią swoją chciał zapisać królowi? przestrogę tak wymowną, większą, niż ból fizyczny, krok hańby samobójczéj, który przecież w porównaniu, co mogło nastąpić, musiał być dla niego krokiem honoru, kiedy go książę Poniatowski, kiedy go duchowna osoba, wybrała, spełniła. — O tak! niech jego nauka nie będzie stracona przezemnie! Myśl ostatnią wielkiego jego domu winien pochwycić malarz, bo cóż malować, jeżeli nie szczytność wnętrznéj walki, która i w twarzy zbójcy jeszcze malarzowi da poklask za wydanie budzącéj się szlachetnéj władzy?

Zabieram się więc do dzieła; światła ile trzeba wpuszczam przez podniesienie do wpół okna karmazynowéj firanki, reszta alkowy ciemna, aby mi obecność osób mogących nadejść nie psuła ułudy samotności; w nogach łoża ustawiam trojnóg malarski. Tymczasem cicha rozmowa księdza Mejera z panią Grabowską toczy się przy głowach zmarłego. Małom jéj zważał, dopóki ruch szczególny rozmawiających nie zwrócił nań uwagi mojéj; z pod oka popatrzyłem na mówiących. — Troje ich było; widać, że podczas mych przygotowań nieznacznie musiała wejść trzecia osoba słuszna, w duchowném ubraniu; czoło szerokie, pełne myślenia; oko duże, jasne, śklniące świeciło w ciemności i bacznie we mnie zwrócone było. Był to ksiądz Hugo. Nie witałem go, bom dojrzał, jak tajemnie podawał jakąś karteczkę nie wielką pani Grabowskiéj, jak ona przeszła w krótce w ręce księdza Mejera z tém samém chowaniem się przedemną, i podczas, gdym się schylał dla roztoczenia nóg mojego pulpitu, i gdy wciąż badawcze oko Hugona siedziało we mnie, widziałem, jak ksiądz Mejer wkładał ją zręcznie i spiesznie w rękę zmarłego. We dworze, mój sędzio, tego widzieć nie trzeba, czego nie chcą, aby widzianém było. Milczałem więc, ale odtąd i okiem i słuchem przyrzekłem sobie być niemym

świadkiem sceny, jaka przede mną odgrywać się będzie, a ciche pytanie Kołłątaja: »Ale czy pewno król jegomość nadejdzie?« rzucone do ucha Grabowskiéj, dość jasno tłumaczyło mi przeznaczenie tego zwitka.

Widząc rozmawiający, że pierwsze krzątania artysty skończone, i brałem siatkę do zdjęcia rozmiaru twarzy, ustąpili w ciemniejszą część alkowy, nie odstępując mnie jednak śledzącym wzrokiem; jam rzekomo nie dawał baczności na rękę, wiedząc, że nie czas, aby owe pismo odkrytém być miało.

Po chwili ruch w pobocznych komnatach oznaczał wejście kilku osób; znajome skrzypienie butów ostrzegło mnie i obcych, że król idzie. Chód jego wolny coraz się wyraźniéj odbijał i pani Grabowska skwapliwie ku drzwiom sunęła, lecz posłyszawszy za nim szelest kobiecéj sukni, wstrzymała się nagle u progu, by nie wyjść naprzeciw rywalki — i tak zwitała króla w progu saméj komnaty nizkim pokłonem i rzuconémi łzami. — Czy widok wchodzącego brata do brata, który mu już oddać powitania nie mógł, czy podobieństwo rysów dwóch tych jéj kochanków, czy wreszcie prawdziwa boleść, owa nagła kobieca boleść rzuciła Grabowską, nie wiem; dość, że chwila witania była chwilą zemdlenia Grabowskiéj, piękném swém ciałem padła u progu alkowy w nogi królowi, i koral ust jéj odstąpił. Król w drzwiach stojąc, zatrzymany jéj upadkiem wejść nie mógł daléj, ani ratować zemdlonéj ramieniem. Pierwszy, co przed nim wszedł, cześnik koronny Tadeusz Dzieduszycki porwał omdlałą wpół i z ziemi unosił, a z poza króla ciekawo i badawczo, spinając się na swe palce maluczkie, przyglądała się téj scenie Lully, z owym kobiecym przenikliwym wzrokiem, co to od razu pojmie, czy zemdlenie jest skutkiem rachunku, czy natury, i postrzegłem w krąglutkiéj twarzy markizy, figlarny uśmiech znawczyni, co mi odjął połowę prawdziwego żalu, jakim mnie ten przypadek Grabowskiéj opanował. Nie wiem, ale to szamotanie się cześnika z zemdloną i ów upór Grabowskiéj do usunięcia się z przed nóg królewskich zdawało mi się jakby umyślném przetrzymaniem go w progach komnaty, aby tymczasem rywalkę swoję wystawić na nieprzyjemne czekanie przede drzwiami alkowy. Może i chciała Grabowska dać do zrozumienia Markizie, że ona tu jak w swoim domu miała prawo ciałem swojém zaledz komnatę, w oczach króla pana; może jéj chciała przemówić, że Lully ino jak gość ciekawości tam stąpa, kędy Grabowskiéj panowanie sięgało.

Weszli nakoniec do komnaty, król Stanisław, pani Lully, szambelan Strzembosz, a dwoje paziów zostało w progach alkowy. A teraz oko w oko spotkały się dwie rywalki, jak oko w oko stanął brat bratu, życie śmierci. I cofnąłem się od mego pulpitu, aby w ciekawszy obraz popatrzyć. — Żałość, Stanisława załamała ręce nad łożem brata, cichy smutek utulił każdego oddech, że mógłbyś bijące serce posłyszeć; dwie twarze, Lully, Grabowskiéj, zapatrzyły w siebie, z całém przerażeniem tego spotkania nad grobem. — Wyniosła kibić pani Grabowskiéj, czarną utulona taftą straciła to brzemię ciała, które ją przysadkowatą i niby krępą czyniło; a czarna krepowa flora z głowy rzucona w pół ciała lekką i wysmuklejszą udały jéj postać; ciemne pudrem narzucone włosy w trzy korony splotów ubrane nad czołem bujały, jak wieża, a w pośród nich czarna uplątana wstęga jak ścieżka kręta i ślizga świeciła czarnym atłasem; dwoje siwych oczu zdało się srebrzyć wzrokiem, to księżyc w pogodnéj nocy grudniowéj, kiedy natura w bieli, a w bieli takiéj była właśnie twarz Grabowskiéj. — A Lully, Lully kochanka, Lully francuzka, roztrzepana Lully nie miała czasu rzucić na siebie żałoby; i woń jéj i ubiór, jak z balu, zlatujący z ramion, jakby dopiero z objęć lubego; a twarz jéj krągła, rumiana, ciemnawa biciem krwi, co się tak w jéj piersiach spieszyła; a oczy jéj czarne, jasno-krwiste, jakby z nich ogień patrzał; a wargi jéj, dwie wiśnie bliźnięta, na które patrząc trzeba było o całunku myśleć. Taka Lully z swoją wysmukłą, ulatującą kibicią, z rozpuszczonym jasnym włosem, w kędziory à la Titus, odpowiadała na wzrok surowy, poważny Grabowskiéj złośliwym figlarnym rzutem swych oczu.

Dość długo trwały ta niema zaduma króla i niema walka dworaczek; pod czas niéj Hugo w najciemniejszy róg komnaty skryty, błyszczał ino białém swém czołem ponad głową króla, ponad baszty warkoczów damskich, ponad schylone służby królewskiéj orszaki. Chcącego witać go Tadeusza Dzieduszyckiego cześnika, odprawił tajemnym skinem ręki, i ciasniéj w kąt się zatulił; alem uważał, że się nie zdziwił cześnik obecnością Hugona, snadź go się tam spodziewał, może i żądał.

Król Stanisław, chcąc przejść najwolniejszym wyrazem żalu, z głębokiego smutku bratniego do majestatycznéj powagi, obrócił w okół od łoża nabrzękłe oczy, i ujrzawszy mnie, drżącym ozwał się głosem: »Bacciarelli, czyście poznali brata mojego?« — Rzewne pytanie nie wymagające odpowiedzi, ino spowiadające tak dobrze żałość i cierpienie rzuciło mi łzę do oka, aby ją ukryć i nie rozżalić więcéj króla, przysunąłem się nagle do mego pulpitu, rozprowadziłem kilka kolorów na pamięć, dorywczo, jak gdybym i ja chciał przejść z przykrego położenia człowieka do mego obowiązku malarza. A chcąc zmusić niejako Stanisława do opu-

szczenia łoża, poszedłem ku ciału, i niby w malarskim celu zasunąłem twarz prymasa głębiéj w bieliznę. Cofnął się król, ale o krok ino, i patrzył niespokojnie na me krzątania; słyszałem głębsze westchnienia jego piersi, jakby się spodziewał, że ja wyraźniéj rysy nieboszczyka odsłonię w odpowiedzi na jego słowa. — Wtém ruch całéj alkowy prędki, ciekawy, ruch, do którego i Hugo należał, bo słyszałem jakby drapanie się po ścianie obcasów wspinającego się człowieka, dał mi do zrozumienia, iż na mnie spoczęła cała uwaga chwilowa, cała nadzieja effektu włożonéj kartki, owéj tajemnicy, czyli też celu obecnych. Posłyszałem szelest krepy odpychanéj dychającą piersią Grabowskiéj, zgiąłem się ku łożu, król tuż poza mną nachylił swe czoło, aby ostatni raz ujrzał bratnie oblicze. Teraz czas, pomyślałem, i poprawiając okrycie łoża, nieznacznie z zaciśnionéj ręki prymasa począłem adamaszek wyrywać; tam był ów bilet i za drugiém pociągnięciem, jakby żywe roztwarły się palce, i pismo widomie moje i królewskie uderzyło oczy. Poskoczył ku niemu król; widziałem tylko drżącą do niepoznania ręką kreślony zwierzchu napis: „Królowi bratu memu“, i już je król czytał, a ja, zimny, spokojny, jakby rzecz najnaturalniejsza w świecie się działa przed mémi oczyma, odszedłem do mego trójnogu.

Jednakże była osoba, która dziwną tę scenę niedowierzaniem przyjęła, i naprzód ogniste swe oczy wlepiła we mnie, by czytać, wybieg to? — czy prawda? Śmiało i bez najmniejszéj poznaki, cały zatopiony w pędzlu, zniosłem ten śledczy wzrok pani Lully, ale coś ważniejszego musiało ją uderzyć w pani Grabowskiéj, bo z niéj już nie spuściła wzroku, a ta całą siłą utonęła w czytającym Stanisławie; wargi zacięte Grabowskiéj mimowolny ruch ożywiał, jakby słowo po słowie czytała lub przypominała sobie treść listu, który król trzymał. Ten ruch tak był jasny, ściągnienie jéj rysów ku oczom tak wyraźnie malowało nie ciekawość, ale pewność tego, co król znalazł; rzut z pod oka na ciemny róg komnaty, co nie uszedł baczności Lully, tak dobitnie przemawiał o podrzuceniu i wspólnictwie Grabowskiéj, że Lully, nie mogąc z prędkości uciec się do rozwagi, z gorzkim i przekonanym uśmiechem rzekła do niéj dość głośno: »Ha! pewnie ci prymas wszystkie tam swoje klejnoty zapisał!«

Rumieniec byłby wypłynął licem Grabowskiéj, gdyby tak niespodziewane odkrycia, tak śmiało rzucone jéj przez rywalkę, było odgadnięciem treści pisma; ale ona pojrzała tylko szyderczo po małéj francuzce i odwróciła od niéj twarz swoję. Cała przebiegłość Lully straciła trop prawdy; z tego, co zaszło, nic już nie odkryć; czeka więc na pierwsze słowa królewskie. On w framudze okna, twarzą do obecnych, w obu rękach drżących rozwinięty zwitek dawno czyta i drży dawno, choć tam ino jak widać przez spód papieru ledwo kilka nakreślonych linii; skończył wreszcie — pomięszany i rozczulony krótkie i ucinane wyrzekł słowa, — skinął na służbę zwykłym sposobem, gdy ją odprawiać chciał i ukłonem ręki obom zapaśnicom dał jakby pożegnanie. Grabowska i Lully niepewne i ociągające się odchodzą do drugiéj komnaty. »Zostań, księże Mejerze!« zawołał na spowiednika — a wtém i z rogu komnaty poważnym sążnistym krokiem przeszedł przed królem Hugo, wolnym pokłonem się uniżył i chciał iść daléj za cześnikiem. — „Wy tutaj, Hugonie?“ zagadł król zdziwiony, »i wy? kiedy tak, zostańcie mi przy boku. Panie Strzembosz i wy Bacciarelli zaczekajcie z służbą w przybocznéj sali; ja tu nie długo zabawię.« — Pokładłem pędzel i palet mój, za nami sam król drzwi zawarł i całe grono nasze, świadkowie i uczestniczki téj sceny, prócz króla, Mejera i Hugona, obaczyliśmy się w przybocznéj wielkiéj marmurowéj sali.

Ciche naprzód szeptanie w alkowie prymasa po naszém wyjściu wszczęte dolatywało uszów, jak jękanie ulewy, co bez wiatru kroplisto bije w ziemię. Lully poszła ku oknu najbliższemu ściany alkowy, co się patrzyło w ogród niewielki prymasa, ale kierunek jéj głowy mniéj się podawał ku szybie, jak ku ścianie, jakoby chciała podsłuchiwać rozmowę; i w rzeczy saméj oparłszy się dobrze o tę ścianę, można było głośniejsze chwytać wyrazy. Grabowska, co aż dotąd w pół wachającym się chodem zdążała ku drugiemu oknu, widząc wybieg Lully namyśliła się, zmieniła chęć i ku temuż samemu oknu, gdzie stała Lully podeszła. Skinęła na służbę, podano im stołki, a Lully z widoczném skrzywieniem podziękowała ukłonem za tę posługę, co ją pozbawiła wsparcia się o ścianę i wygodnego podsłuchania. Jednakże musiała usiąść; inaczéj obok siedzącéj już Grabowskiéj w obliczu patrzących na nie dworaków, czyżby nie utraciła godności? czyżby nie mogła żartobliwość przemówić, że Lully przy niéj usiąść nie śmiała? — Jam stał o kilka kroków za niemi, i jak od niechcenia podanémi w tył rękami opierałem się o ścianę, przerywaną i obojętną rozmowę, kiedy się sciszały odgłosy alkowy, prowadząc z wielkim cześnikiem. Ciekawość w mém życiu zrobiła mnie artystą, mój sędzio, a teraz podsłuchiwaczem; jednakże w pierwszéj chwili téj sceny sztuka moja wzięła górę nad prostą ciekawością. I jakże wziąść nie miała, gdy obok siebie dwa wyrazy miłości tak różne siedziały w osobach dwóch rywalek królewskich? Kontrast ich z sobą przekonał mnie, że Stanisław prawdziwie po

ludzku i po królewsku lubować umiał, i to co z początku zdało mi się niestałością jego, pokazało w nim znawcę. On miłował nie dwie kobiety, ale dwie miłości.

Miłość czterdziestoletnia Anny, co się do ostatniego przedmiotu swych uczuć przyczepia powojowym skrętem, co czuje, że raz ostatni kocha, gdzie przychodzą bole zazdrości, jakich młodość nie zna, jakie doktor za chorobę wziąść może, a które jak ostatnie drżenie strony, najprzyjemniejszą melodyą niosą; jest to kwiat mocny, pełny zapachu, co kwitnie bez jutra, a każdy wdzięk swój opadający płacze służebniczym żalem; — taka miłość przemawiała z lica Grabowskiéj. Krągłość form i skończona wydatność silnie zbudowanéj postaci nie zaszkodziły bynajmniéj jéj kibici, ale pokazywały owszém całą moc, całą sposobność do téj walki, owo kwitnienie, co się ma szamotać z przekwitem. Przedramie łączące się z piersią nie wskazywało żadnéj linii przedziału; wdzięk do wdzięku zdał się przypadać i tonąć jak śnieg do śniegu, by stworzyć tę krągłą pieszczotę, co wyzywała snycerskie dłuto. I patrząc na nią musiałeś wyłącznie ziemskim uczuciom oddać duszę i ciało; tak, kiedy patrzym na dąb, mimowolnie skupiamy pięść, jak gdybyśmy próbowali w nas mocy, patrząc na wyraz siły w drzewie.

A w drugim obrazie, w obrazie Lully, rozmiłował Stanisław ów płochy szał dwudziestoletniego uczucia, co to igra z miłością, ale kocha, jakby to raz tylko kochać się miało; co to się zamyśla, lub wróży przyszłość z biegu chmurki dojrzanéj przez okno; co się martwi snem dziwacznym, lub krojem sukienki nie w smak; uczucie młode, przelotne, któremu trzeba skoków, hałasów, tańca, świecideł, aby mogło powiedzieć, że szczęśliwe, któremu dosyć jednéj niepogody w dzień zamyślanéj przejażdżki, aby się nieszczęśliwém nazwało; serce w tym wieku jest ową ptaszyną przywiązaną nałogiem do klatki, któréj się zdaje, że gdy od klatki odleci, to już tam nie ma na świecie Boga, coby dla niego o ziarnkach pamiętał. Cała postać markizy, każdy ruch téj niewielkiéj, gnącéj się kibici, mówił o owém pieściwém uczuciu, co ją kochanką Stanisława zrobiło: czoło gładkie, lśniące, nisko płowémi włosami zarosłe, oczy czarne, żywe, kropkowane piwnémi znakami, i owe lice ciemnawe gorętszéj krwi francuzkiéj pomawiały o rozkwitającym wieku kobiety. Tu zachcenie kaprysem, lada przeciwność burzą, a każda burza bolem, ale jakim bolem? My wąsacze, sędzio, śmiejem się z tych bolów kobiecych, ze spazmowych bolów, co rozstrajają chęci z obecnością; ból ten fizyczny napastuje tylko takie pieszczotne stworzenia, i przychodzi z bicia krwi ku głowie i ku tym płowym włosom, co tak wymownie o delikatności nerwów świadczą, a które są jakby bladym kwiatem na nierodzajnéj ziemi, ledwie wilgocią wypędzonym z jéj łona. Ale takie główki mają roje myśli, a jedna piękniejsza od drugiéj, a wszystkiémi chciałyby znaczyć kochanka; więc mu prawią o swoich rojeniach edeńskich, a kiedy mówią, to wezmą taką postawę wdzięczną, ulatującą, tak się zegną z czołem swojém zamyśloném na swoją drobną rączkę, że człowiek, patrząc na nie, chwyta je prędko w ramiona, jakby się bał, by one rojeniami swémi nie wydarły mu się z rąk, z przed oblicza jego, i jak marzenia, które czuje, że mu z duszy uciekają, nie uciekły z niémi. Takie mi myśli widok tych dwóch faworyt nastręczył i zatopiony uciąłem pogadankę z cześnikiem.

Tymczasem rozmowa króla i jego radzców głośniejszą się stawała; gruby głos Hugona coraz gęściéj przerywał powolne króla odpowiedzi i stłumione ale prędkie Mejera przymówki. Uważałem, iż, im głośniejsze dolatywało słowo, tém Grabowska rozmowniejszą się stawała, to zagabywała Lully o jakie drobnostki ubioru, to o jaki szczegół jéj gustu, lub o zmianę w ogrodach Łazienek. Niechęć Lully w rozmowie tém widoczniejszą była, im głośniejsza była alkowa; nieraz wpół odpowiedzi ucięła, aby podsłuchć; wtedy Grabowska naprzykrzonem pytaniem: »Co? co?« mięszała niebogę. — Ale nadeszła chwila, w któréj my wszyscy i sama pani Grabowska oniemieliśmy z uwagi. Wybuch grubego głosu Hugona, stłumiony wykrzyk króla, poruszył mimowolnie wszystkich głowy ku ścianie. Słowo po słowie cedziło się przez ten mur komnaty i dochodziło, jak szum gdzieś podziemnéj rzeki.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Krytyka.

Vorstudien zur Wissenschaft der Natur
oder
Uebergang von Gott zur Schöpfung
von Bronislaus Ferd. Trentowski.
2 Bände. Leipzig 1840.

(Dokończenie.)

Autor sam w końcu na tę drogę został naprowadzonym. Zbierając wątek poprzedniego wywodu, powiada wyraźnie w §. 10.: że z człowieka nie dało się przejście do natury wyprowadzić, ani wynaleść zasadnicze natury pojęcie; że z człowieka, jako indywidualnéj całkowitości, wnieść raczéj trzeba było na Boga, będącego zupełną całkowitością; i że

dopiero z rozbioru kategoryi Bóstwa: materyi, ducha, istności, wykazało się pojęcie natury, będącéj istnością Boga uważanego z materyalnéj strony. »*Es ist das göttliche Dasein, aber nur im Momente seiner Positivität, oder nur im Momente seiner Materie betrachtet.*« Wypadł ztąd naturalny wniosek, że nie człowiek, ale Bóg, jest początkiem całego przyrodzenia, równie jak wszystkich rzeczy istniejących. Ztąd także tytuł i treść dzieła: »przejście od Stwórcy do stworzenia.«

Pozostaje nam jeszcze wykazać, o ile natura, uważana jako cielesna strona Bóztwa *(Gott in seiner ewigen und zeitlichen Leiblichkeit)*, może być przedmiotem filozofii postrzeżenia. — Postrzeżenie *(Wahrnehmung)* jest akcyą zmysłów i rozsądku razem, jest zmysłowością i rozsądkiem w jedni. Ani zmysły same, ani rozsądek sam nie prowadzi do poznania prawdy, ale jedno i drugie razem. Postrzegać jest zatém to samo, co myśląc widzieć, myśląc słyszeć, myśląc dotykać się, wonić i smakować (str. 140. i 142. I.). I dla tego to autor, jak z jednéj strony poniżył empirystów, co po zmysłach szukali prawdy, tak z drugiéj strony wyśmiał idealistów, owo Kanta *das Ding an sich*, owo Fichtowskie *Ich*, ową ideę Hegla, dla tego, że to są same abstrakcye rozsądkowe, mrzonki filozoficzne. Atoli autor, ponieważ pisząc dzieło swoje, myślał nie oczami, nie językiem i t. p., nie zaciekał się w przedmiot, i nie wpatrywał weń oczami ciała, ale myślą, oczami duszy; musiał koniecznie myślą odkrywać myśl samą, to jest coś takiego, co się zmysłami ująć nie dało, czego cała istota na tém właśnie polega, że przed zmysłami ucieka. Tego rodzaju jest n. p. gatunkowość rzeczy stworzonych, typ tworu, który się we wszystkich tworach tego gatunku przez wszystkie wieki przebija. Jest to pojęcie abstrakcyjne, nie mające w naturze odpowiedniego przedmiotu, bo jest ogólne nie szczególne, z wszelakich przypadkowości obrane, złożone z samych niezmiennych cech gatunku. Jest to czysto idealna strona rzeczy fizycznych, ale dla tego samego dla braku przedmiotu zmysłom, postrzeżoną być nie może. Wszakże przypuszcza ją p. Tr. i jéj tylko trwały, niepożyty byt przyznaje, na wzór innych idealistów. »Rzecz każda — mówi — pozostaje i znika, ale materya téj rzeczy trwa, i jest zawsze jedna i ta sama. Widzimy to i na naszéj ziemi, że tylko pojedynki i szczegóły zmierają, ale gatunki trwają ciągle. Człowiek rodzi się i umiera, atoli człowiek jako człowiek zawsze trwa. Tak zmierają i znikają wszystkie zwierzęta, rośliny i wszelakie rzeczy stworzone, będące tylko szczegółami, trwają zaś wiecznie jako ogólniki.« (162. I.) Nie jestże to to samo, co owe poprzednie spekulacyjne pojęcia idealistów, którym wyłącznie byt i trwanie przypisywali?

Na takie same idealne pojęcia wychodzą owe pojęcia p. Tr. ciała trwałego i duszy trwałéj w człowieku *(der beharrende Leib und die beharrende Seele)*. Jest to jeszcze wyższa, niżeli gatunkowa abstrakcya, bo jest ogólnikiem, do jednego tylko pojedynku przywiązanym. Ciało, które się od poczęcia człowieka w łonie matki, przez wszystkie stacye wieku, zmian i chorób aż do śmierci, czyli ostatecznego rozkładu, przebija i trwa, to ma być owém ciałem niepożytém *(corpus sempiternum)*. Jest to pojęcie wysoko z-idealizowane, i naprożno ratuje się autor z idealizmu, w który widocznie popadł, dodając: »ciało to jest widzialne i dotykalne, ale nie obecnie.« (112) Jakże co zobaczyć, co już minęło, jak się tego dotknąć, co już nie jest? Nie jestże to to samo, co powiedzieć, ja cię widzę, ale nie oczyma, słyszę głos twój, ale nie uszami. Ów zaś przykład, że sobie zmarłych i nieobecnych w postaci ciała wystawiamy, jest tylko złudzeniem, bo bierzemy obraz na pamięci naszéj wyryty za pojęcie, a zatém szczególnik za ogólnik.

Takim idealem jest dusza wieczna, daléj owa pierwotna substancya i pierwotna dusza *(die Ursubstanz und die Urseele)*, istność osobowa człowieka *(das Ich als solches, von allen Jetzt-ich verschieden)*. Autor tak dalece uniósł się idealizmem, że śmiał powiedzieć, nie oglądając się na konsekwencye, iż nie tylko ten co dostał się do domu waryatów, ale i ten, którego do domu poprawy wsadzili, przestał być człowiekiem. *Ein Bösewicht ist kein Mensch mehr, sondern eine Bestie, in welcher man die Erinnerung der vergangenen und die Hoffnung der zukünftigen Menschheit noch achtet* (153). Stronicą wyżéj odmawia autor obłąkanemu nawet przymiotu osobistości. *Ein Wahnsinniger ist kein Mensch, keine Person mehr.* Czemuż autor nie powiedział, że i chory przestaje być człowiekiem, że głusi, ślepi, chromi i t. d. nie są ludźmi, wszakże równém prawem brak sił umysłowych, jak brak sił cielesnych i zmysłowych pozbawićby nas powinien człowieczeństwa, bo ciało i dusza, zmysły i rozum, równe mają prawo w człowieku? Nie chcemy dalszych wniosków wyprowadzać ze zdania onego, którego autor niczém nie obroni. Stawa ono wyraźnie przeciw pojęciom o człowieczeństwie, i zasadom samego systemu autora. Wypłynęło z idealnego przesadniego kierunku myśli, i ztąd poszło, że autor zapomniał o zmysłowéj stronie człowieka, która ma równe prawa z umysłową do obrania go z człowieczeństwa.

Tak się ma i co do wielościowéj kategoryi Boga: materyi, ducha i istności. Materya będąc dodatną stroną Bóstwa jest w nieustannéj metamorfozie, atoli nie to jest wiecznotrwałe i boskie, co się w coraz innych postaciach i farbach oku pokazuje, ale to, co jest tego wszystkiego wieczném podścieliskiem. Tu autor dodaje: »że pod materyą nie rozumi próżni abstrakcyjnéj, mrzonki metafizycznéj, ale materyą jako taką, którą widzimy, słyszymy, wąchamy, smakujemy, któréj dotykamy się.« Atoli taka materya zmysłami poznawana, jest tylko świat zewnętrzny, świat w szczególach. Ogólnik materyi zmysłami w żaden sposób objąć się nie da. Czuł to dobrze sam autor i powiedział: »prawda że zmysły nasze nie sięgają daleko, ale, że zmysłami nie obejmujemy materyi jako materyi *(die absolute allgemeine Materie)*, nie będzie przeto czczą ideą. To co jest ogólne, nie zawsze jest samą tylko ideą, jak się to w jasném przezroczu abstrakcyi wydaje; bywa też i istotą.« Musiał tu autor ogólnikom przyznać prawdziwe istnienie *(Wirklichkeit)*, bo sam na nie natrafił, ale utrzymuje, że jego ogólniki nie są abstrakcyą, i dla tego nie są ideami, ale rzeczywistémi istotami (163). Nie będziemy się z autorem upierali, że ogólniki idealistów, mianowicie Hegla, mają taką samą rzeczywistość, i że im autor wyżéj dla tego tylko prawdziwego istnienia odmówił, iż im zmysłowéj braknie strony, któréj tu, i jego absolutnéj materyi brakuje. Powtórzymy tylko jego wyrazy (str. 236.): *die Wirklichkeit ist überall der Leib und die Seele in Einem*; możnaż to o ogólnéj materyi powiedzieć, którą tu autor wystawia, tylko jako jedną stronę wielości Boga? Wszakże (182. I.) sam mówi: *die Materie und der Geist sind abstrakt, das Dasein aber wirklich.*

Uważając zatém naturę, jak się powiedziało, jako istniejącego Boga z materyalnéj strony, będzie to tylko uważanie przez reflexyą myśli, która może uważać w osobni ciało i w osobni ducha, ale w rzeczywistości będzie z nią nierozerwanie połączona i druga strona Bóstwa duchowa, z których się dopiero składa wielościowe Bóstwo. *(Das Dasein ist die Identität des Geistes und der Materie)* Jest to, jakby umiejętne rozważanie żyjącego ciała na żyjącym człowieku w objawach, jakie wszystkim ludziom są właściwe.

Cały następujący tom jest wyprowadzeniem kategoryi, czyli praw natury, z pojęcia Bóstwa, i kiedy na ten sposób z materyi *quo ad potentiam* powstały niemateryalne rozsądkowe prawidła, a zatém uczynił się rozstęp między materyalnością a duchowością, bada autor trybu, jakim ten przedział znowu się łączy, i jak powstaje materya *quo ad actu*. Nie możemy wchodzić w szczegółowy rozbiór tych kategoryi i kanoniki natury, bośmy sobie założyli, co nam się większéj wagi zdawało, filozofią p. Tr., jako taką wziąść za wyłączny przedmiot krytyki. Kończymy ją własnem wyznaniem autora, którą wielkość, głębokość i oryginalność pomysłów swoich, ale i ich excentryczność, tak w formie wyrażenia, jak w treści, sam dokładnie odcechował. »Wieleśmy tu szalonego

napowiedzieli, aleśmy niewinni temu. Żaden czyn wielki nie odbędzie się bez rodzaju szaleństwa; podobnie nas szał ogarnia, gdy nową wypowiadamy prawdę. Wszakże geniusze wszystkie szalone, i niedoperzowe plemie ludzkie szalone!« (Str. 216. I.) *Libelt.*

Korrespondencya.

List z Wrocławia do redaktora pisany.

Szanowny przyjacielu i redaktorze!

— — Szukiewicz wyjechał już od kilku tygodni do Krakowa, i dla tego żadnych zapewne tu ztąd nie masz wiadomości; bo zdaje mi się, że on sam tylko o życiu intellektualném tutejszém Ci donosił. Nie dla tego, abym Ci się na zastępcę jego nastręczał, ale dla służenia sprawie ogólnéj ośmielam się tą razą go zastąpić.

Właśnie w tych dniach ukończył się druk przekładu czeskiego pierwszego tomu poezyj lirycznych Szyllera przez p. Prf. Purkinjego. (Tytuł: Bedricha Sillera Basne Lyricke preložil i wydal Jan Purkyne. Dil prwni. W Wratislawi tiskem K. T. A. Guenthera. 1841.) Przypadek zdarzył, że także w tych dniach, t. j. dnia 10tego bież. miesiąca, towarzystwo literatów tutejszych, którego prezesem jest znany jako poeta Professor Hoffmann-Fallersleben, obchodziło uroczyście dzień urodzin Szyllera. Na obchodzie tym uczczono prawdziwie godnie pamięć tego poety; godnie także uczcił ją p. Prf. Purkinje, bo przedłożył pierwszy exemplarz przekładu swego zebranemu towarzystwu. Wszyscy przyjęli z uniesieniem to dziecię Szyllera przybrane w nadobną szatę czeską, a Prf Hoffmann przemówił stósownie do tego głosząc sławę poety i wynurzając zarazem wdzięczność zacnemu tłumaczowi, że przekładem swym pomnożył cześć należną poecie. (Exemplarz chodził z rąk do rąk, tak że w końcu podobien był spotrzebowanéj książce. Dziwiono się piękności wydania, bo w istocie jest piękniejsze aniżeli niemieckie. Tłumaczenie jest wierne, tak że każdy Polak obeznany z Szyllerem, z łatwością je czytać może.)

Będąc świadkiem téj uroczystości, wspomniałem sobie, czemu i my nie mamy podobnego obchodu? Czy nam zbywa na podobnych pisarzach, czy też naród nie ceni tyle ich zasług? Ani jedno, ani drugie; bo mamy pisarzy, których wszyscy wielbią, a jednakże podobnego obchodu nie mamy. Pochodzi to zapewne stąd, że obchód taki jest naznaczony piętnem partykularności, czego Polacy nie cierpią. Niechże partykularność ustąpi, obchodźmy np. pamiątkę wyzwolenia literatury polskiéj z pod jarzma obczyzny i klassycyzmu, a nadamy obchodowi piętno ogólności, uczcimy pisarzów i odpowiemy potrzebie. Będziem mieli Święto narodowe, którego dotąd nie mamy. Uroczystość taka jest niezbędnie potrzebną, bo na niéj koncentrują się uczucia i na niéj odbywa się niejako popis postępu ducha. Byłoby to pole igrzysk, na którém wieńcząc zasłużonych zachęcanoby do szermierstwa.

Poznańskie jest teraz ogniskiem, z którego promienia daleko się rozchodzą, niechby więc w Poznaniu miłośnicy literatury uczynili zawiązek, a przekonany jestem, że tłumem by się łączono do nich, bo teraz, dzięki Bogu, są te czasy, że tylko wskazać cel dobry, a już wszyscy biegną do niego.*)

Proszę Cię, abyś był tak łaskaw i załączył myśl moję w Twém piśmie, czy to w tych samych wyrazach, jakem ją skreślił, czy to w stósowniejszych — o myśl mi tylko idzie.

Przyjmiéj uściśnienie braterskie.

Twój przyjaciel
B.

*) W najbliższych numerach pisma naszego umieszczając projekt do wydawania pism w języku polskim, na akcye, podamy zarazem projekt do podobnych obchodów, życząc sobie, aby oba te projekta z takiém uczuciem przyjęte były, z jakiém każde przedsięwzięcie, mające na celu wzniesienie oświaty i wzrost literatury ojczystéj, Publiczność zwykła przyjmować. *Przyp. red.*

Doniesienia literackie.

W Nrze 18. z r. b. umieściliśmy wiadomość o rękopiśmie polskim, arabskiémi zgłoskami pisanym, który orientalista Fleischer między rękopismami biblioteki Lipskiéj znalazł. Stósownie do przyrzeczenia naszego, udzielone nam łaskawie bliższe szczegóły o tym rękopiśmie, dziś umieszczamy:

Rękopism ten obejmuje 147 stronnic in 12mo, jest bardzo niewyraźnie pisany, całe strony często pozacierane i pozamazywane. Celem autora pewnie było dowieść Chrześcianom, iż ich pismo święte nie jest świętém, tylko pofałszowaném przez żydów, pogan i t. d., na dowód czego przytacza kilka zdań z pisma śt., które za niestósowne uważa. Odcyfrowano następujące miejsca:

Fol. 1. — — — a Sara siostra i żona Abrahamowa. Czytaj pierwsze xięgi Mojżeszowe rozdział dwudziesty w wierszu dwunastym — *(resztę wymazano i wykreślono.)*

Fol. 2. — — — a druhaja Rahaba . . . Czytaj xięgi Jozua rozdział druhi, tam najdziesz szto ona k . . . a *(wyraz wypisany, reszta znów wymazana.)*

Fol. 3. — — — czytaj xięgę Samuelową w rozdziele jedenastym do końca, tam w niéj wszystko najdziesz — — —

Na téjże — — — toż czynił Józef w pierwszych xięgach Moiżeszowowych w rodziele czterdzieści trzecim w wierszu dwadzieścia czwartym.

Na Fol. 142. *i następnych są modlitwy w wyrazach arabskich, tatarskich i polskich pisane* »*za matkę, za brata, za dziada, za babę.*«

Oprócz tego znajdują się rozmaite modlitwy, które odmawiają narody wschodnie przy rozmaitych obrządkach pogrzebowych, n. p. przy obmywaniu, ubieraniu, wynoszeniu i przysypywaniu zmarłych. Napisy tych modlitw są czysto polskie zgłoskami arabskiemi i tatarskiemi pisane, modlitwy zaś same są mieszaniną języka polskiego, arabskiego i tatarskiego. Na zgłoski, które się nie znajdują w języku arabskim, n. p. dź, sz, cz i t. p. są zupełnie nowo uformowane znaki.

Jedno z pism donosi, iż w księgozbiorze Erwina Nostic znajduje się własnoręczny rękopism dzieła Kopernika *de corporum coelestium.* »Napisy i godła w tém dziele« (są wyrazy pisma tego) »są pisane atramentem czerwonym. Najbardziéj zaś zastanawiają poprawki w oryginale; znać, jak gorliwie wielki filozof wygładzał swoje dzieło, nim je ogłosił światu. Z początku widać tylko kilka słów podkreślonych i kilka przypisków; daléj zaś pomnażają się poprawki, na końcu całe stronnice są pokreślone, a marginesy zapełnione przypisami. I rachunki musiały być często rewidowane, nim je Kopernik przeniósł na czysto. Z początku widać kilka polinijowanych tabel z napisami, wszakże cyfry są opuszczone; że zaś te tabelle ogłoszono drukiem Norymbergskim, przeto Kopernik musiał je mieć wypracowane na innych arkuszach. Z figur tylko jedna jest pokreśloną, co służy za dowód, jak gruntownym był system wynaleziony przez wielkiego astronoma

TYGODNIK LITERACKI wychodzi co tydzień w Poniedziałek. Prenumerata wynosząca półrocznie 2 Talary przyjmuje się po wszystkich Królewskich Pocztamtach i księgarniach krajowych i zagranicznych.

Redaktor: *A. Woykowski.* Czcionkami W. *Deckera i Spółki.*